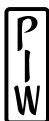


GYULA
KRÚDY
**MIASTO
UŚPIONYCH
Kobiet**

OPOWIADANIA I FELIETONY

Przełożyły
Elżbieta Cygielska
i Teresa Worowska

Postówie
Elżbieta Cygielska



MŁODE LATA

W podolinieckim klasztorze – rozmyślał pewnej nocy w przededniu jesieni siwiejący mężczyzna, kiedy po dachach, w wilgotnym świetle księżyca, chodzili kominiarze utkani z mgły – był, i może nadal jest, stary obraz, a na nim mężczyzna ze zmierzwioną czupryną, zawadiacko sterczącymi wąsami i rdzawą brodą przywodzącą na myśl rude kobiece kędziory, o okrągłych jasnoniebieskich oczach, z twarzą czerwoną jak odbłask wina na białym obrusie w słoneczny zimowy dzień, czyli książe Lubomirski.

Kim był książe, nim zajął miejsce w zniszczonych złoconych ramach w owym starym klasztorze? Odpowiedź nie ma specjalnego znaczenia dla tej historii. Niech wystarczy, że tkwił tam, pod łukiem sklepienia na ścianie, na której spod odpadającego tu i ówdzie tynku widać było ślady fresków, na nich zaś postaci dawno zmarłych świętych. Z jednej strony na zydelku siedziała święta Anna, z twarzą niemal zatartą przez czas, więc tylko dwoje wyblakłych oczu spoglądało pytająco na uczniów, którzy stukali obcasami po kamiennej posadzce korytarza. Zdawało się, że ta święta niewiasta bez przerwy wypytuje ich o postępy w nauce. Z drugiej Jerzy zabijał smoka, a pośrodku królował Lubomirski.

Wielu wychowanków klasztoru uczyło się tu za darmo, a zacni braciszczkowie cały czas straszili ich księciem o oczach jak spodki.

Książę przyczynił się do szerzenia pobożności, fundując te piękne okrągłe płyty kamienne na posadzkę, kiedy budowano klasztor, dzięki temu nawet z zaświatów miał prawo strofować opieszających uczniów. Biedni mali Słowacy, którzy trafili tu, między grube mury klasztorne, z niebotycznych sosnowych lasów, grzecznie zdejmowali czapki przed czerwonym jak wino obliczem Lubomirskiego.

Panny z Podolińca, które przychodziły spowiadać się u księży, miały zwyczaj zatykać za ramę książecego obrazu polne kwiaty, a kobiety, które paręset lat temu wydawały na świat tylko rudobrode i kędzierzawe dzieci, modliły się przed konterfektem księcia jak przed wizerunkami innych świętych. (Dziś już pewnie nikt nie pamięta, że paręset lat temu książę chętnie zdejmował rękawice z bawolej skóry, kiedy białogłowa klękała u jego stóp. Lecz teraz już ich nie zdejmuje).

W ten sposób Lubomirski, nawet martwy, był pierwszym panem w miasteczku, chłopcy często dostawali na chrzcie imię György, a w Boże Ciało na placu przed ratuszem hajduk oddawał salwę z moździerza (co prawda jedynie do połowy napełnionego prochem) nie tylko na cześć starego Boga, lecz i Györgya Lubomirskiego.

Siwiejący pan (który pewnego wieczoru, siedząc przy biurku, wspominał ów korytarz pod łukowatym sklepieniem, gdzie niósł się echem stukot uczniowskich obcasów, by ostatecznie umilknąć gdzieś w oddali) był swego czasu uczniem w tym klasztorze, mieszkał w pobliżu i nazywał się Sindbad. (Wybrał sobie to imię z ulubionej książki, z *Baśni tysiąca i jednej nocy*, bo w owym czasie świeża była jeszcze pamięć o epoce,

kiedy to rycerze, poeci, aktorzy i egzaltowani uczniowie wybierali sobie imiona. Pewien garbaty chłopczyk nazywał się papież Grzegorz. Któż wie dlaczego?)

Sindbad szanował pana Lubomirskiego, lecz uchylał przed nim kapelusza nie inaczej niż przed Müllerem, właścicielem sklepiku papierniczego, gdzie zawsze było ciemno, bo mieścił się w ciemnej bramie. W tej ciemności naturze mylił się porządek rzeczy, albowiem wujaszek Müller nie miał wąsów, zaś jego rosła czarnowłosa fałszywa córka Fanni miała. Długo się tego wstydziła, lecz pewnego razu zjawił się w mieście młody nauczyciel, który orzekł, że wąsy Fanni są piękne i pociągające. Fanni poczuła się szczęśliwa i z tego szczęścia skoczyła do Popradu przy młyńskiej grobli. (Za Sindbada rodzice regularnie płacili klasztorowi chesne, a od czasu do czasu nawet przysyłali beczkę wina z myślą o mszy świętej, do której Sindbad w czerwonej sutance służył jako ministrant, szybko odklepywał *Confiteor* i uroczyście, z namaszczeniem potrząsał dzwonkiem, jakby to od niego zależało, czy siedzący w ostatnich rzędach ławek uczniowie uklękną. W tej samej czerwonej szatce ministranta podbił niegdyś serce Anny Kacszó, kiedy ta w niedzielę przysłała na mszę do braci zakonnych). A jak było naprawdę?

Sindbad nie kłaniał się księciu z jakąś szczególną pokorą już choćby dlatego, że mieszkał na stacji u rodziny Kacszó. Wujaszek Kacszó był podstarościm – z rodzaju tych podstarościch, którzy zdarzali się drzewiej w zapadłych górskich miasteczkach. Za młodu był tylko hajdukiem w urzędzie starosty, potem kancelistą, a gdy zapuścił dostojną brodę, to już w praktyce znał się na administracji. Kiedy zaś urósł mu brzuch, został podstarościm. W podstarościch z Górnych Węgier nie ma nic z zawadiackiej nonszalancji ich rówieśników

z Alföldu: są to dzielni i solidni ludzie, zakładają dużą rodzinę, pomagają w domu rąbać drwa i wyrabiać świece, a gniewają się tylko wtedy, kiedy zupa jest przypalona. Gdy była, wujek Kacskó walił pulchną pięścią w stół i krzyczał:

– Jestem podstarościm!

Minka, potulna, smutnawa i gładko uczesana żona, odpowiadała:

– Tak, ale nie w domu.

– Mówisz mi to przy córkach? – pytał wujaszek Kacskó i robił z dłoni trąbkę, którą przystawiał do ucha, jakby przesłuchiwał w biurze jakiegoś słowackiego petenta.

– To moje córki – z westchnieniem odpowiadała Minka. – Pan starosta jakoś mało się stara, by wydać je za mąż.

Na takie dictum podstaroścemu Gyuli Kacskó nie pozostawało nic innego, jak czmychnąć do biura. Po swoją ulubioną fajkę posyłał do domu hajduka.

Zamążpójściem panien Kacskó chyba rzeczywiście nikt się nie przejmował. Były trzy: ładne, duże, zdrowe panny na wydaniu, które razem z Sindbadem mieszkały w piętrowej części domu. Co tydzień inna z nich gotowała. Magda baraninę, Anna kapustę, a Róza słodkie kluski; w tych potrawach były mistrzyniami. Zmieniały się też po południu i wieczorem, kiedy Sindbad z jakiegoś powodu musiał opuścić znajdujący się na parterze duży rodzinny pokój (żeby wujaszek Kacskó z ciocią Minką mogli kłócić się do woli, bo pan starosta nie mógł już czmychnąć do biura). Odprawdzały wtedy nieco bojaźliwego i nieprzepadającego za nauką Sindbada do pokoju na piętrze, by usiąść z nim przy stole, gdzie odrabiał lekcje, i albo coś dziergać, albo czytać nieskończenie długie powieści. Magda i Anna

tak się pograżały w lekturze, że Sindbad spokojnie mógł sobie drzemać nad podręcznikiem. Ale Róza miała dopiero szesnaście lat i jeszcze nie lekceważyła młokosa Sindbada jak siostry, często kładła białą dłoń na jego gęstych, czarnych włosach i to poważnie, to znów żartem ciągnęła go za nie. Sztubak piszczał, Róza się czerwieniła i tym mocniej ciągnęła go za włosy.

– Ucz się – krzyczała z błyskiem w oczach – bo jak mi Bóg miły Lubomirski cię obleje!

Sindbad skwapliwie pochylał się nad książkami, gdy na opuszczonym piętrze, gdzie w pustych pokojach leżały worki z owsem, jak rzucone zwłoki, nagle zaczynał wyc wiatr... Wystraszona Róza zamykała oczy, przez chwilę słuchała wiatru, po czym jeszcze bardziej drżąca i blada przytulała się do ucznia, opierając mu głowę na ramieniu i obejmując go za szyję...

Sindbad też bał się wiatru, do tego stopnia, że nie mógł przewrócić kartki w książce, choć już całkiem niezłe znał materiał, który się na niej znajdował.

A więc w czasach, gdy książę György Lubomirski sprawował pieczę nad uczniami w Podolińcu, trzymając odzianą w rękawicę z bawolej skóry dłoń na rękojeści szabli, zdobionej wizerunkami dawnych świętych, i gdy Róza Kacskó wesoło, zadziornie, a może i z odrobiną miłości karciała Sindbada, ciągnąc go za włosy, lecz i przytulając się do niego, w tamtych czasach mieszkał w klasztorze pewien chłopiec celujący w religii, służeniu do mszy i oddawaniu czci świętym obrazom, którego nie wiedzieć czemu wychowankowie starego klasztoru nazywali papieżem Grzegorzem. Papież Grzegorz był garbaty, buzię miał delikatną jak święta hostia, którą co tydzień przyjmował. Choć Sindbad często spuszczał papieżowi Grzegorzowi manto, to jednak się z nim przyjaźnił, a pewnego popołudnia nawet zaprosił

garbatego chłopca do siebie. Bez wątpienia po to, by pochwalić się przed nim przyjaźnią, pięknymi oczami i białymi dłońmi Rózy, która siedziała przy stole, by przypilnować Sindbada w nauce.

Odwiedziny papieża Grzegorza przebiegały tak: Róza cały czas była poważna i milcząca, pogardliwie traktowała obu chłopców i za nic nie chciała ciągnąć Sindbada za włosy, choć wcześniej nigdy nie przepuszczała okazji ku temu.

No i zamiast skłonić głowę na ramię Sindbada, zamiast objąć go za szyję, niemal opryskliwie mruknęła:

– Dziwię się, że Lubomirski toleruje w klasztorze takich słabych uczniów.

Papież Grzegorz szeroko otworzył wielkie błyszczące oczy i jak urzeczony patrzył na Różę w białej domowej sukience, na rękawy opinające jej ramiona i na perłowe guziki falujące na wypukłej piersi.

A Róza poklepała go po plecach i szyderczo stwierdziła:

– No no, ten chłopiec ma garb jak wielbłąd.

Papież Grzegorz spuścił wzrok, zaczerwienił się i ze łzami w oczach wyszedł z pokoju.

Tego wieczoru Sindbad czuł gorycz, kiedy Róza przymilnie gmerała w jego włosach, kładła mu twarz na ramieniu i mocno trzymając go za rękę, huśtała się na krześle. Ciągle miał przed oczami garbatego zapłakanego chłopca, poważnie wziął się więc do nauki, by dopiec Rózie.

– Za co lubisz tego pokrakę? – spytała rozdrażniona Sindbada, który nie odrywał wzroku od książki.

Przeciągnął się wtedy, wstał i niespiesznie podszedł do okna. Zapadał wieczór – łagodny czerwcowy wieczór – z wąskiej uliczki, biegnącej kręto ku niewielkiemu wzniesieniu, docierały do pokoju nieokreślone

szumy i dźwięki, w dali nad górami znikwały i pojawiały się gwiazdy jak dzieci bawiące się w chowanego.

– To odtąd ucz się z nim – powiedziała Róża już całkiem poważnie. – Niech ten garbus przepytuje cię z łaciny, skoro tak go lubisz.

Ta chmurka na ich relacji spowodowała, że nazajutrz Sindbad umówił się z papieżem Grzegorzem na popołudniową kąpiel w Popradzie, jak z najlepszym przyjacielem.

Poprad wił się pod starym klasztorem między groblami zrobionymi z belek, płynął cichy i czarny jak woda jeziora. Dalej, na środku, spienione fale toczyły się wesoło, figlarnie, wręcz ze śmiechem, jakby od wozaków podróżujących przez góry z jednego kraju do drugiego nauczyły się pogody ducha, bo ci zawsze gwizdzą sobie, śpiewają i pociągają z manierki.

Chłopcy kąpali się rzecz jasna tam, gdzie woda była spokojna i głęboka. Uczepieni żelaznych klamer spajających belki huścili się, nie dotykając dna.

Garbaty chłopiec czuł się bardzo pewnie w towarzystwie wspaniałego, dzielnego Sindbada, w pewnej chwili nawet zawołał triumfalnie:

– Przecież tutaj jest dno! – I wyciągnął chude nogi, by go dotknąć. Rozluźnił uścisk poplamionych atramentem palców na żelaznej klamrze i bezgłośnie zniknął pod wodą. Przez sekundę Sindbad widział tylko dziwny garb pod powierzchnią, po czym nad rzeką, nad okolicą, pod wielkimi lipami nastąpiła długa cisza, jakby klasztor dotknęła jakaś czarodziejska różdżka, i on też umarł, niczym w baśni z tysiąca i jednej nocy.

Sindbad wyskoczył na brzeg, jakby go rak uszczypnął w nogę, wpatrywał się w nieruchomą wodę, ułamaną gałęzią próbował w niej coś namacać, a potem szybko się ubrał. Bez słowa, z zaciśniętymi ustami pobiegł

w kierunku drewnianego mostu, który jak wielki papają stał na swoich długich nogach nad Popradem. Po drodze mijał ludzi, którzy, kręcąc głowami, spoglądali za biegnącym, pobladłym chłopcem, jemu zaś zdawało się, że słyszy, jak mówią o tajemniczym Lubomirskim.

Przy moście na cumie kołysało się czółno. Sindbad miał przy sobie scyzoryk, bardzo ostry, przecież w wolnym czasie niczego innego nie robił, tylko wciąż go ostrzył. W mgnieniu oka przeciął więc linę i po chwili szybkie fale niosły już łódź w dół rzeki, on zaś wyteżył wzrok, spoglądając przed siebie, w kierunku wielkich lip... A nuż papież Grzegorz huśta się tam znowu, uczipiony żelaznej klamry, a nuż to wszystko było tylko kiepskim żartem...

Ale miejsce, gdzie rzeka niemal śpi, było równie spokojne, jak parę minut wcześniej. Sindbad ostrożnie skierował łódkę tam, gdzie papież Grzegorz zniknął pod wodą, i głęboko zanurzył wiosło, potem ręce, jakby spodziewał się natrafić na papieża Grzegorza... W końcu zaczął cicho wiosłować w dół rzeki. Zatrzymywał się co jakiś czas, wiosło już dawno szorowało o kamieniste dno płytkiego Popradu, w oddali z wody wystawały kamienie, każdy jak papież Grzegorz, czasem mignął czerwony pstrąg, a rzeka lśniła, pieniała się, jakby ktoś przez sito lał płynne srebro.

Mury klasztoru powoli zostawały w tyle, łódka mijała drzewa owocowe mieniące się żółcią i czerwienią, w ogrodzie warzywnym pan profesor Privanka w butach z cholewami i podkaszanej rewerendzie pielich chwasty, wystraszony Sindbad położył się na brzuchu na dnie łodzi.

Potem dalej wiosłował, zostawiając klasztor daleko za sobą. Podpłynął do krzewów, które pochylały się nad rzeką, ale znalazł tam tylko zbutwiałą sosnową belkę.

Było już późne popołudnie, słońce zaszło za wysokie góry, a osierococone, bezludne pola po obu stronach rzeki szykowały się na nocny spoczynek. Już i srebro Popradu z wolna przygasało, w miarę jak na jego lustrze kładł się wielki fioletowy cień.

Nagle daleko, na środku rzeki, zobaczył garbatego papieża Grzegorza, jak z twarzą zwróconą ku górze unosi się wśród fal. Ramiona miał rozrzucone, nogi zanurzone w wodzie, otwarte usta wyglądały jak czarna dziura.

Sindbad otarł pot z czoła, bo w tym momencie uświadomił sobie, co się naprawdę stało. Chłopiec z garbem utopił się w rzece, o co jego oskarżają. Lubomirski już wychodzi z ram obrazu, które teraz stanowi rzeka, już zbliża się ze zmierzwioną rudą brodą. Gdzieś w oddali, na drugim brzegu, w ciemnych krzewach stoi Róża z założonymi do tyłu rękami i patrzy gniewnie, ponuro, tak jak wczoraj wieczorem on patrzył na gwiazdy... Kiedy płynął po zwłoki, rzeka wydała mu się bardzo głęboka, tajemnicza, wręcz straszna. W końcu złapał garbatego papieża Grzegorza za nogi i z wysiłkiem, z płaczem, postękując, wciągnął go na łódź.

Odwrócił się do niego plecami i powoli, zmęczony, powiosłował z powrotem.

Nagle się obudził, był w domu, leżał w łóżku.

Twarz Róży oświetlał żółty blask lampy.

Dziewczyna patrzyła na niego błyszczącymi, szeroko otwartymi, szarymi oczami, a jej wargi szeptały:

– Dzielnym z ciebie chłopiec. Teraz już zawsze będę cię kochać.

1911

przełożyła Elżbieta Cygielska